O TEATRZE
POD WZGLĘDEM MORALNOŚCI.
(z francuzkiego).

Powszechny i silny pociąg do nowości i rzeczy nadzwykłych, żądza, aby się czuć w stanie namiętnym, dała teatrowi początek. Znużony wyższém usiłowaniem duszy, jednostajném i trudzącém pełnieniem obowiązków stanu, syty zmysłowością, czuł człowiek pewną czczość w sobie, przeciwną wiecznéj żądzy czynności. Nasza natura, równie niezdolna zostawać długo w stanie zwiérzęcym, jak też ciągle pracą umysłową się trudnić, szukała stanu pośredniego, któryby obie ostateczności połączył, i któryby kolejno przejście z jednego stanu do drugiego ułatwił. Tę korzyść nadaje nam czucie piękności. Ale gdy mądry prawodawca naprzód na to baczyć powinien, aby między dwoma skutkami najlepszy wybiérał, przeto nie może przestać na rozbrojeniu tylko ludu z jego skłonności; będzie się starał, jeżeli można, uważać je za narzędzie wyższych dążeń, i one w źródła pomyślności zamienić, i dla tego obrał nadewszystko teatr, który czynnemu umysłowi otwiéra niezmierne pole, władze jego ożywia, i ukształcenie rozumu i serca z szlachetną łączy zabawą.

Piérwszy, kto tę uwagę uczynił, że najsilniejszą kraju podporą jest: religia, że bez niéj same prawa mocy nie mają, ten zapewne bez wiedzy lub chęci, bronił teatr z najpiękniejszéj strony. Właśnie ta niedostateczność praw politycznych, która religią czyni konieczną, ustala moralny wpływ teatru. Prawa, (chciał on powiédzieć), tyczą się tylko obowiązków *negative*, religia rozciąga władzę swoję na istotne postępowanie człowieka. Prawa tamują tylko skutki niszczące związek społeczeństwa; religia nakazuje takowe, które ściśléj go łączą. Tamte władają tylko zewnętrznemi skutkami woli, czyny tylko są jéj podległe; ta zakłada swe sądy w najskrytszych tajnikach serca, i śledzi myśli aż do

piérwszego ich źrzódła. Prawa są przemienne jak ludzie i namiętność, religia obowiązuje surowo i wiecznie. Ale przypuszczając, co nigdy już nie jest, że religia tę wielką władzę nad każdém ma sercem, możeż ona zupełnie wykończyć ukształcenie człowieka? Oddzieliwszy polityczną stronę religii od boskiéj, poznamy, że ona więcéj na zmysłową część ludu działać jest zdolną, i przez to może tak pewno skutkuje. Zniknie jéj moc, gdy jéj to odbierzemy. Przez cóż działa scena? Religia niczém będzie dla większéj części ludu, jeżeli jéj obrazy, jéj tajemnice zniszczymy, jeżeli usuniemy wyobrażenia o niebie i piekle.... Jakie wzmocnienie dla praw i religii, gdy wejdą w związek ze sceną, gdzie widzimy żywą obecność, gdzie występek i cnota, szczęście i niedola, mądrość i głupstwo, w tysiącznych obrazach jasno i z prawdą są przedstawiane, gdzie przeznaczenie rozwięzuje swój węzeł, gdzie serce na torturach namiętności najskrytsze uczucia wydaje, gdzie wszelkie maski i ozdoby spadają, a prawda jak Radamant nieprzekupione sądy odbywa.

Sąd sceny tam się zaczyna, gdzie prawa społeczności się kończą. Kiedy sprawiedliwość przed złotem ociemnieje, i płatna przed występkiem się czołga, kiedy możni wyszydzają jéj niemoc, wtenczas scena bierze miecz i wagę, i ciągnie zbrodnie przed swój straszny trybunał. Całe kraje wyobraźni i dziejów, przeszłości i przyszłości, stoją posłuszne na jéj skinienie. Zuchwałych zbrodniarzy, już dawno w proch rozsypanych, wywołuje poezya wszechmocnym głosem, i dla okropnéj nauki potomności, na nowo ochydne życie zaczynać muszą. Bezsilne, jako cienie, przechodzą okropności ich wieku przed naszemi oczyma, abyśmy z rozkoszną odrazą przeklinali ich pamięć. Gdyby żadnéj już nie uczono moralności, gdyby żadnego prawa więcéj nie było, jeszcze zadrżymy na widok *Medei* ze schodów pałacu zbiegającéj po spełnieniu zbrodni dzieciobójstwa. Zbawienny przestrach przejmuje ludzkość, i każdy cieszy się wewnątrz czystością swego sumienia, kiedy *Ledy Makbet* w okropnéj nocy błądząc ręce umywa, i wszystkie wonie arabskie przywołuje, ażeby ślady zabój-

stwa obmyły. Jak pewno widoczne przedstawienie silniéj skutkuje, niż martwe litery i zimne opowiadanie, tak pewno żywiéj i trwaléj działa scena, niżeli moralność i prawa.

Ale tu wspiéra ona tylko świecką sprawiedliwość; dalsze jest jeszcze jéj pole. Tysiączne występki, które tamta bezkarnie cierpi, ona ukarze, tysiączne cnoty, które tamta przemilcza, są zalecone na scenie. Tu jéj towarzyszy mądrość i religia. Z tego czystego źródła czerpa swoje nauki i wzory, i surową powinność w miły, powabny strój odziéwa. Jak wspaniałém uczuciem, postanowieniem i żądzami przepełnia się tu nasza dusza, jakże tu boskie wzory do naśladowania widzimy, kiedy dobry *August* zdrajcy *Cynnie*, który już na ustach jego wyrok swéj śmierci zdaje się czytać, kiedy mówię August, wielki jak jego bogowie, rękę mu podaje: *Bądźmy przyjaciołmi Cynno!* Któż w tłumie widzów nie chciałby w téj chwili najgorszego nieprzyjaciela ręki uściskać, i boskiemu Rzymianinowi być równym? Kiedy *Franciszek Sickingen* na drodze do walki, aby jednego nieprzyjaciela ukorzył i cudze prawa obronił, przypadkiem się obejrzawszy, widzi ogień w zamku swoim, gdzie żona i dzieci bez ratunku zostały, a on daléj jedzie dotrzymując słowa; jakże tu wtenczas wielkim mi się człowiek wydaje, jak małém i pogardy godném obawiane i niezwyciężone przeznaczenie!

Jak mile cnota, tak obrzydliwie malują się występki w jéj okropném źwierciedle. Kiedy opuszczony, zdziecinniały *Lear*, daremnie wśród burzliwéj nocy puka do domu swéj córki, kiedy włos swój siwy na powietrze rozrzuca, i wściekłym żywiołom opowiada, jaką była jego *Regana*; kiedy nakoniec wściekła jego boleść temi okropnemi odzywa się słowy: *Ja wam wszystko dałem*; jakże obrzydliwą okazuje nam się wtenczas niewdzięczność? któż wtedy nie obudzi w sobie miłości dziecinnéj i czci dla wieku sędziwości?

Ale daléj się jeszcze rozciąga działanie sceny. I tu, gdzie religia i prawo nie uważają za zgodne z swoją powagą, aby prowadziły ludzkie uczucia, i tu jeszcze scena zatrudnia się nami. Szczęście społeczne równie cier-

pi przez głupstwo jak przez występki i zbrodnie. Doświadczenie jako świat stare nas uczy, że w przędzy życia ludzkiego często największa waga na najsłabszéj nici jest zawieszona, i jeżeli czyny do ich źródła wrócimy, dziesięć razy wprzód musimy się rozśmiać, niżeli raz oburzyć. Im starszy jestem, tym bardziéj się skraca mój poczet złoczyńców, tym więcéj się powiększa liczba głupców. Jeżeli całe moralne przewinienie jednego rodu z jednego głupstwa wypływa; jeżeli wszystkie ostateczności zbrodni, które go kiedy dręczyły, są tylko odmiennemi formami, wyższym stopniem jednéj własności, któréj się nakoniec wszyscy jednogłośnie uśmiéchamy, i onę lubimy; czemużby natura przy innym rodzie nie miała tą samą iść drogą? Jednę tylko znam tajemnicę, ażeby człowieka od zepsucia zachować, a ta jest: *strzedz jego serce przeciw słabości.*

Wielką część tego skutku może nam scena obiecać. Ona trzyma źwierciadło przed wielką massą głupców, ona tysiączne ich postaci zbawienną szydnością zawstydza. Co w tragedyi wzruszenie i przestrach, to działa tutaj (prędzéj może i pewniéj) satyra i śmiészność. Gdybyśmy chcieli tragedyą i komedyą według osiągnionego skutku ocenić, możeby doświadczenie ostatniéj piérwszeństwo przyznało. Wyszydzenie i pogarda dotkliwiéj ranią dumę człowieka, aniżeli odraza sumienie jego udręczyć zdoła. Przed okropnością uchowa nas nasza nikczemność, ale właśnie ta nikczemność poddaje nas żądłu satyry. Prawa i sumienie bronią nas często od występków i zbrodni, śmiészności potrzebują właściwego i delikatniejszego zmysłu, który najwięcéj na widowisku doskonalimy. Często może umocujemy przyjaciela, aby się wdawał w nasze serce i obyczaje, ale ciężko nam wybaczyć mu jedno wyśmianie. Znosimy w przekroczeniach naszych dozorcę i sędziego, ale w niedorzecznościach naszych ani mieć świadka nie chcemy.

Scena jedynie może wyśmiać słabości nasze, ponieważ naszę czułość oszczędza, i nie chce wiedzieć o głupcu występnym. Bez zarumienienia widzimy naszę maskę spadającą przed jéj źwierciadłem i za łagodne napomnienie tajemnie dziękujemy.

Ale nie tu się jeszcze kończy zakres jéj działania. Teatr więcéj niż wszelki inny instytut publiczny w narodzie jest szkołą praktycznéj mądrości, skazówką obywatelstwa, kluczem niezawodnym do najskrytszych tajemnic serca ludzkiego. Przyznaję, że miłość własna i zatwardziałość sumienia, niszczą często najlepszy jéj skutek, że tysiąc jeszcze występków śmiałém czołem przed jéj źwierciadłem utrzymuję, że tysiące pięknych uczuć nadaremnie od zimnego serca słuchacza odpadają; ja sam utrzymuję, że może *Harpagon* Moliera żadnego jeszcze skąpca nie poprawił, że samobójca *Bewerley* mało jeszcze współbraci od szkaradnéj namiętności do gry odnęcił, że dzieje zbójeckie nieszczęśliwego *Karola Moor*, niewiele gościńce bezpieczniejszemi uczynią. Ale jeżeli i to wielkie działanie sceny ograniczymy, jeżeli je nawet niesprawiedliwie całkiem zniesiemy, jakże to wiele jeszcze pozostanie jéj wpływu? Jeżeli ogółu występków ani przytłumia, ani pomniejsza, czyliż nam ich nie dała poznać? Z temi przestępcami, z temi głupcami musimy żyć; musimy ich spotykać, lub im ustępować, musiemy ich pokonać, albo im uledz. Ale teraz już nas nie nastraszają. Jesteśmy gotowi do ich odparcia. Scena zdradziła nam tajemnice, łatwo je wynaleźć, lub się ustrzedz. Ona obłudnikowi zdarła kunsztowną maskę, odkryła sieci, które na nas chytrość i intryga zarzuca, wyrwała fałsz i oszukanie z krętych labiryntów, i okropne ich oblicze jawnie pokazała. Może umiérająca *Sara* żadnego rozpustnika nie odstraszyła, może wszełki obraz kary zwodziciela nie oziębi w nim żądzy; ale dosyć że niewinność zna jego sieci, że ją scena nauczyła nie ufać jego przysięgom, i drżéć przed jego ubóstwianiem.

Scena czyni nas bacznemi nie tylko na człowieka i charaktery, ale także i na losy, i uczy nas wielkiéj sztuki, abyśmy je znosili. W pasmie życia naszego, przypadek i plan grają role zarówno ważne: piérwszy powściągamy, drugiemu ślepo musimy się poddać. Dosyć korzyści, kiedy nieodzowne przeznaczenie nie zastaje nas zupełnie bez przygotowania, kiedy nasza odwaga i roztropność już się na podobnych wyćwiczyła,

kiedy serce już do podobnego ciosu stwardniało. Teatr wystawia nam rozmaite sceny cierpień człowieka. Wprowadza nas kunsztownie w cudze udręczenia, nadgradzając nam momentalne cierpienie łzą rozkoszną i wyższym stopniem odwagi i doświadczenia. Przy niéj błądzimy z opuszczoną *Aryadną* po pustéj wyspie *Naxos*, przy niéj wstępujemy do wieży głodem ginącego *Ugolina*, przy niéj wchodzimy na straszliwe rusztowanie i słuchamy uroczystéj śmierci godziny. Tu słyszymy, jak natura głośno i nieodzownie potwierdza to, cośmy tylko przeczuwać niejako zdołali. Teraz, gdy ma umiérać, odstępuje udręczonego *Moor* jego niewierna sofistyczna mądrość, wieczność wypuszcza zmarłego, by odkrył tajemnicę, których nikt żywy wiedzieć nie może, a bezpieczny złoczyńca traci ostatnią ucieczkę, bo i groby mówią przeciw niemu.

(*Dokończenie nastąpi.*)

DWA USTEPY Z ŻYCIA
KEANA
SŁAWNEGO AKTORA ANGIELSKIEGO.

II.

W dwadzieścia lat później Dawid Kean znajdował się w towarzystwie artystów dramatycznych angielskich, których pan Lorent, ówczasowy dyrektor opery włoskiéj w Paryżu sprowadził z Londynu do stolicy Francyi. W wieczór należał on do publiczności, lecz w dzień do siebie samego i spędzał go na przeglądaniu szczegółowo Paryża. 1 października 1828, S. W. Reynolds, jego przyjaciel, Reynolds, sztycharz *Rozbitków Meduzy*, artysta równie szczytny w swoim rodzaju jak Kean był w swoim, poprowadził go do muzeum wielkich mistrzów. Tam ich spotkałem, oba mnie przyjęli z zwykłą sobie uprzejmością, a nawielbiwszy się Rubensa, Vandycka, Rembrandta i Pawła Veronezego, pojazd tragika powiózł nas do hotelu Favart, gdzie Chipendale komik dawał nam obiad.

Już wcześnie publiczność oblęgała drzwi teatru, gdyż afisz donosił o przedstawieniu *Kupca weneckiego* w którym Kean miał grać rolę Schylocka.

Obiad się skończył, gdy w tém dziecko dwunastoletnie zbielone mąką, ustrojone w wełnianą czapeczkę, przyniosło nam w koszyku kilkanaście ciastek dla uzupełnienia deseru. Kean przypatrywał się ciekawie małemu pasztetnikowi, przywołał go do siebie, i rzekł do niego kilka frazesów w złéj francuzczyznie: dziecko nie zrozumiało go i było zakłopocone; w tém Kean sięgnąwszy do kieszeni, dał mu piéniądz pięcio-frankowy, mówiąc: *Ici, my boy, pour le garçon; this is bon français, n'est ce pas?* Dziécko wzięło piéniądz srébrny, spoglądając kolejno na każdego z nas jakby dla wyczytania z twarzy naszych, czy on istotnie do niego należy, wsunął go potém zwolna do swéj kieszeni, poczém zdjąwszy śmiało czapeczkę, rzekł z ukłonem: „Dziękuję panu," wyszedł z pokoju, a dopadłszy schodów, z taką szybkością zbiegł z nich, jak gdyby był ściganym przez kogo. „Pięć franków dla chłopca, rzekł Chipendale. Chłopak tak jest uradowany że gotów zachorować. — „Istotnie, dodałem, jeśli jego koledzy zobaczą u niego taką summę piéniędzy, obwinią go o kradzież." — „To być może, odpowié Kean. Biédacy tak są przyzwyczajeni widziéć swych kolegów ubogiemi, że natychmiast nazywają złodziejem tego co ma więcéj od nich piéniędzy. Miałem tego dowód na sobie samym będzie temu dwadziescia pięć lat, posłuchajcie tylko.",

Poczém opowiedział zdarzenie z biletem kassowym księcia Bedfordt. Opowiadanie to oddał z uczuciem, tak lubił wspomnienie Jakóba Bob, Tom Kowa i Betty blondynki. Przy końcu, ton głosu jego stał się poważniejszym, i wielka łza spłynęła mu po licu. Darujcie mi, odezwał się do nas, darujcie jeśli płaczę, lecz znalazłem tyle nieszczerości i zawiści w mojéj obfitości, że mi wolno jest żałować przyjaciół których miałem w mojém niedostatku; towarzystwo Boba było moją rodziną, moją jedyną rodziną, nędza ich wszystkich dobiła.... Ach! rzekł z goryczą, nalejcie mi wina, bo moje wspomnienia są smutne.

Gospodyni weszła wtenczas, a Kean jak w chwilach swojéj młodości, dobywając bilet bankowy z swéj kieszeni, rzekł do niéj: „Dalej mościa pani chcę się dzisiaj uraczyć; niech mi tu przyniosą za pięć gwineów szampana. — Wtenczas Chipendale nachylił się do ucha Reynoldsa, i rzekł mu po cichu, „Czuwaj nad Keanem; strzeżmy go aby się nie upił; gdyż za godzinę ma wyjść na scenę. — Będziem czuwali,” odpowiedział Reynolds dając mi znak porozumienia. — „Co mowicie?” zapytał się Kean, który uważał nasze szepty. — Chcemy wnieść toast Keana, odpowié Reynolds. — Przyjmuję go pod warunkiem wywzajemnienia się, odezwał się Kean odzyskując swą wesołość. „Daléj Newman, rzeknie zwracając się do swego starego służącego, odkorkuj butelkę!”

Newman odkorkował butelkę, i szybko ją oddał Keanowi, który natychmiast nalał wszystkie kielichy, a piana szampana rozlała się po serwecie. Toasty jedne po drugich następowały, butelki próżne zbiérały się na stole, i Kean dawną wesołość odzyskał, lecz wraz z zapomnieniem przeszłości, niepomnym był na obecność; i dobrze się zasiedziawszy w swém krześle, rozwiązał chustkę z szyi, założył nogi na krzyż, i zostawał w postawie owego chłopa, który pewnego razu zasiadłszy w krześle pańskiém, rzekł poziéwając z rozkoszy: „Gdyby tu się ogień z[illegible]!, tobym czekał ażby się do tego krzesła dostał, i dopierobym wyszedł, tak mi tu jest wygodnie.”

A jednak kassy teatru już były dla niecierpliwéj publiczności otworzone i sala już zaczynała się napełniać. Już był wielki czas porzucić krzesło, wypróżnić ostatni kieliszek i udać się do teatru. Chipendale zwinął swoją serwetę, Reynolds wstał nucąc pod nosem; ja ociérałem mój kapelusz mankietem od sukni, dla nadania mu połysku; Kean jednak się nie ruszył.

„Daléj, *my friend*, rzeknie Reynolds, biorąc swoję szklankę i trącając nią o szklankę Keana: trąćmy się, wypijmy za twoje powodzenie tego wieczora, podaj mi rękę i idźmy. — Iść, gdzie? odezwie się Kean zdziwiony. — Do teatru, odpowié mu Chipendale; już trzy

kwadranse na siódmą; poczém wyciągnął swój zegarek z kamizelki i pokazał mu przed oczy. Trzy kwadranse na siódmą, rzeknie Kean z nieukontentowaniem. Ten wietrzyk wieczorny wiejący przez to okno tak jest świéży, to krzesło tak jest wygodne, jednćm słowem, tak mi tu dobrze, że mam wielką chętkę napisać do pana Laurent że mocna słabość .... — To byłoby wielką niedorzecznością, mój kochany przyjacielu, rzeknie Chipendale, przerywając mu.

Ludzie najrozsądniejsi są częstokroć najniedorzeczniejszemi przez wino. Kean był tego dowodem.

Jednakowoż Reynolds, który znał jego słabą stronę, Reynolds, który posiadał nieograniczoną władzę nad Keanem, rozpoczął delikatnie rozprawę, w któréj pytanie grania lub niegrania, zamienił na pytanie czy to będzie szlachetną rzeczą dla Keana, który nie wiedząc co na to odpowiedzieć, tak się zaplątał że nakoniec powiedział, iż wcale nieodmawia grać, lecz że nie opuści swego miejsca dopóki trzy butelki pełne, jeszcze stojące na stole, nie zostaną wypróżnione.

Wypijemy one, odezwie się Reynolds, chwytając go za słowo; daléj, moi panowie przygotujcie wasze szklanki. Poczém, odkorkowawszy butelki, nalał szampana, opowiadając pewien śmiészny wypadek z niesłychaną zręcznością. Chipendale zrywał boki od śmiéchu, ja klaskałem jak szalony, Kean był omamiony, nie wiedział wcale że Newman, który stał za nim, już wychylił żywo butelki, gdy te zaledwie były odkorkowane; Rejnolds ciągle opowiadał, ja zawsze klaskałem, a Chipendale, śmiéjąc się i bijąc w stół, uważał Newmana, pijącego bez odetchnienia, tak dobrze, że gdy się historya skończyła, już trzy butelki zostały wypróżnione, a Kean nie wypił jeszcze swojéj szklanki.

„Teraz ruszajmy, rzekł Reynolds zupełnie zmordowany, trzy butelki są próżne. — Jak to? jak to? odezwie się Kean, jeszcze ich nie piliśmy. — To jest ty niepiłeś, rzeknie Chipendale, wkładając mu kapelusz na głowę; wtenczas gdyś słuchał opowiadania, każden z nas prędzéj wypił swoję butelkę niż ty twoję szklankę.”

Kean, nim odpowiedział, wziął trzy butelki, jedna po drugiéj, przewrócił one do góry dnami, a gdy się

przekonał że były próżne: „*Bravo*, zawołał, wesoło się podnosząc, jesteście walni łykacze; teraz, ponieważ jestem człowiekiem honoru, gdy wam dałem słowo moje, ruszajmy.” — Reynolds wyszedł piérwszy, a my za nim wszyscy. —

Przeszliśmy przez plac teatru włoskiego i szczęśliwie przybyliśmy do jego garderoby. Kean był dobrze napiły, Reynolds zupełnie potem oblany, Chipendale podwójnie widział, ja bez przytomności; a Newman, zbieliwszy swoję suknię piernikową, podpiérając się o mur przez cały ciąg schodów, zabłąkał się w korytarzach.

Już był kwadrans po siódméj, a kortyna miała się podnieść o w pół do ósméj.

Kean już zaczął się ubiérać, a my przyklaskiwaliśmy mu z cicha widząc go tak przytomnym, gdy wtém po dwudziestém rozmaitém zakręceniu klucza w zamku, nareszcie dokazał Newman że drzwi otworzył, wszedł z gołą głową krokiem niepewnym, a Kean nie mógł się wstrzymać aby mu niepowiedział:

„*Well* Newman, tyś blady jak aktor wygwizdany, lecz twój nos za to czerwieńszy od maliny. — Niestety, panie, odpowié boleśnie Newman, to dekoracya tak mnie gwałtownie w nos uderzyła gdym przechodził między kulisami, że mi kapelusz spadł, a ja całkiem jeszcze jestem ogłuszony. — Wypij troche wódki dla uspokojenia twego wzruszenia, rzeknie Kean parskając ze śmiéchu, i przygotuj mi szklankę groku, bo nie mam dzisiejszego wieczora donośnego głosu i jestem zmięszany.” —

Więcéj od piętnastu lat jak Newman zostawał w usługach Keana, nie minął i jeden wieczór aby nie przyrządził swemu panu szklanki *groku* wówczas gdy ten ubiérał się w swojéj garderobie; dozwoliliśmy mu więc naturalnie bez najmniejszéj obawy, dopełnić tego obowiązku. —

Lecz Newman myślał o zaognieniu swego nosa, o utracie kapelusza i szumiącym szampanie, gdy przyrządzał grok. Tak zajęty, starzec zapomniał wlać w szklankę dwie trzecie części wody do jednéj trzeciéj rumu, i podał swemu panu szklankę araku, którą tenże za jednym łykiem wychylił.

Zaledwie wypił, krew rzuciła mu się do głowy, nietrzeba było więcéj aby wzbudzić w nim na nowo zły humor; i w istocie, nagle się odwrócił, i zrzucił z siebie na ziemię surdut *Schylocka*, ktorego już ubrał jeden rękaw.

Pan Laurent przybył dla odwiędzenia Keana i wynurzenia mu zwykłych komplementów, i gdy wszedł do garderoby, znalazł go rozciągniętego na sofie. Już było dwadzieścia pięć minut po siódméj, a o w pół do ósméj miało się zacząć widowisko.

Wyobraźcie sobie położenie dyrektora. Zaczął mieć długą przemowę do Keana, a ten przerywając mu ciągle żądał z nim zakładu o szampana.

W pięciu minutach garderoba była napełnioną ludźmi którzy wszyscy razem mówili; Chipendale rozprawiał, pan Laurent przekładał, Reynolds bił Newmana, Newman płakał jak dziecko, Kean obecnych traktował napojem: ja rozważałem wszystko w największym kłopocie, a publiczność w sali krzyczała ze wszech stron: *kortyna do góry!*

Jednak Reynolds skłonił pana Laurent aby jeszcze nie zwracał publiczności piénię dzy; żądał sam pozostać z Keanem, mówiąc że może jeszcze nie ma nic straconego. Chipendale który pokładał wielką ufność w Reynoldsie, śpiesznie wyprowadził wszystkich z garderoby; a że ja ostatni wychodziłem, Reynolds wziąwszy mnie za rękę prosił abym z nim pozostał, z czego byłem uradowany, bom pragnął bardzo dowiedzieć się co między niemi dwoma dziać się będzie. Skoro tylko drzwi zostały zamknięte, Reynolds rzekł wesoło do Keana: „Nakoniec, jesteśmy panami siebie; publiczność odbiéra swoje piéniądze, i ten wieczór do nas należy, trzeba z niego korzystać. Przebierz się, pójdziemy do kawiarni paryzkiéj, tam znajdziemy szampana i poncz. Najchętniéj, odpowié Kean, chcę pić poncz tego wieczora i przejechać się do Fraskati. — Pojedziem do Fraskati, rzeknie Reynolds; daléj, zawiąż tę chustkę, zdejm perukę, bierz kapelusz i jedźmy. — Jedźmy, odpowié Kean śpiesząc się z ubiéraniem. — „Teraz, rzeknie do mnie Reynolds, dając mi znak którego wcale niezrozumiałem, mniemam że rozsądną rzeczą będzie powie-

dzieć Newmanowi aby sprowadził fijakra przed małe drzwiczki wychodzące na bulwary, gdyż nie wyjdziemy przez drzwi główne teatralne. — Dla czego? zawoła Kean zapalając się nieco. Byłoby nikczemnością uchodzić skrytemi drzwiczkami. Lękacież się aby nieukontentowani nie skrzywdzili mnie. Otoż ja chcę przejść pomiędzy niemi, a biada temu kto się ośmieli uchybić mi. — Nie idzie tu rzeknie Reynolds, ani o obelgi, ani o śmiałość; o to jedynie aby pojechać do Fraskati i być wesołemi tego wieczora; właśnie dla tego chciałem uniknąć widowiska które może nas zasmucić nie w porę. — I cóż można zobaczyć smutniejszego dzisiaj niż wczoraj, przechodząc przez drzwi główne? zapyta Kean. — Dzisiaj jest sobota odpowié Reynolds. — I cóż w tém szczególnego że dziś jest sobota? — Jestto, daléj mówi Reynolds, dzień płacy dla robotników, maszynistów, figurantów i komparsów teatralnych. Liczono na dochód tego wieczora, zapłacenie im ich nędznego zarobku; aże nie było przychodu, niemasz i zapłaty dla tych bidénych ludzi, którzy stoją wszyscy nieszczęśliwi skupieni przy tych drzwiach, jedni z swojemi dziećmi, którym zbywa na chlebie; drudzy z swemi rodzicami kalekami, czekającemi na cząstkę zysku synów, dla utrzymania bytu swego; chciałem więc uniknąć tego abyś pomiędzy niemi nie przechodził, bo wiém o tém żeś nigdy nie mógł słyszéć obojętnie narzekań nieszczęśliwego, i że widok cierpienia drugiego łatwo cię pozbawia wesołości; lecz teraz sądzę równie jak ty że nikczemnością byłoby oddalić się niepostrzeżonemi tego wieczora, i gotów jestem wyjść z tobą przez drzwi zwyczajne."

Kean przez długi czas zostawał zamyślony; jego fizyognomia kilkakrotnie zmieniała swe wyrażenie w kilku minutach; nakoniec zrobił poruszenie postanowienia, podjął surdut który piérwéj przed kilku minutami rzucił na ziemię i wdział go na siebie nierzekłszy i słowa.

Oba szliśmy (tak mówiąc) za jego myślą z niewypowiedzianą radością.

Nakoniec Reynolds przerwał milczenie, mówiąc z udaném zadziwieniem: I cóż czynisz? mylisz się

w ubiorze. — Chcę grać, odpowié Kean. — A przed kim? rzeknie do niego Reynolds, publiczność już wyszła. — Publiczność już wyszła? powtórzy Kean. — Sam tego chciałeś, daléj powiedział Reynolds. — Smierć i piekło! zawoła Kean uderzając się gwałtownie w czoło, jestem pijakiem i szalonym; poczém padł na sofę jak bez zmysłów. — Więc wyrzucasz sobie twój postępek? rzeknie do niego Reynolds. — Ach! odpowié z powagą Kean powstając, chętnie pracowałbym dzień cały, jeśli przez to mógłbym otrzéć jedną łzę nieszczęśliwemu cierpiącemu i zmniejszyć jego niedolę. Żądam aby ci wszyscy nieszczęśliwi poszli za mną do mego mieszkania, ja sam ich zapłacę, i.... — Słuchajno, rzekłem do Keana przerywając mu, nie słyszysz ty coś podobnego do szmeru zniecierpliwionéj publiczności? — W istocie, odpowié Kean nadstawiając ucho. — Może jeszcze jest czas, rzeknie Reynolds. — Zaczekajcie, powiedziałem im otwiérając drzwi, pobiegnę się zapewnić.... i wyszedłem z garderoby.

Korytarz zawalony był ludźmi którzy się zwolna zbliżyli do mnie, pewni iż się dowiedzą złéj nowiny.

„Każcie podnieść kortynę, rzekłem im, Kean jest już gotowy."

Wyrażenie na twarzach wszystkich zmieniło się nagle, zabłysła radość i podziwienie. Wkrótce klaśnięto po trzykroć, i cichość w sali nastąpiła. Kortyna miała pójść do góry o w pół do ósméj, a ósma biła gdy się podniosła.

Kean zrazu został ozięble przyjęty. W drugim akcie kilka braw wróciły mu odwagę, a gdy w trzecim wyrzekł ten frazes: *„If jew wrong a christian, What is his humility? revenge!....* z oklaskami zmięszały się uniesienia i okrzyki uwielbienia które dopiéro wraz z sztuką ustały.

Przepędziliśmy resztę nocy w kawiarni paryzkiéj, a nazajutrz odprowadziliśmy Keana do jego mieszkania; położyliśmy go sami w łóżko, gdyż mocno był pijany.

Nazajutrz był trzeźwy, i rozmawiał ze mną przeszło dwie godziny o swojém uwielbieniu jakiém jest przejęty dla Schakespeara; rozmowa jego była uczoną i poetyczną; zelektryzowała mnie jak piękne czytanie, lecz

wieczorem popełniał niedorzeczności, aż przykro było patrzéć. — Tak on spędził życie swoje.

Zawsze był uczciwym i wspaniałomyślnym, częstokroć nieporównanym, częściéj jednak poniżonym przez swój nieszczęsny nałóg, który go w samym kwiecie życia dobił.

Wyniszczony bezsennością, przepalony opium i wódką, umarł 13 marca 1833, w Richemond, w 45 roku życia swego.

Przy sekcyi ciała jego, znaleziono że był zbudowanym jak Herkules, lecz żołądek miał tak wyniszczony jak gdyby umarł od trucizny gwałtownéj.

Pozostawił mierny majątek, który niczém był w porównaniu tego co on mógł zebrać. — Pan Laurent płacił mu w Paryżu 60 gwineów (2,400 złp.) za jedno wystąpienie; a jedynie tylko chęć przybycia do Francyi, skłoniła go do przyjęcia tak nędznego zobowiązania się dla niego, gdyż zimy poprzedzającéj Kean będąc zakontraktowanym do teatru *Drury-Lane* na 50 widowisk, brał z każdego połowę czystego dochodu na siebie samego; a nacisk dla widzenia go bywał tak wielki że część jego przynosiła mu około 150 gwineów (6,000 złp.) na jeden wieczór.

Obwiniają go że wszystko zmarnował przez zbytek i nieregularne życie. Co jest fałszem.

Jedna trzecia część jego majątku należy do jego plenipotentów, fałszywych przyjaciół, i zbyt usłużnych znajomych, którzy zawsze używali na swą korzyść jego obojętności i naturalnéj bezinteressowności co do piéniędzy. Druga, rozeszła się na jałmużny, datki i wspomożenia: bo stary aktor, stary autor, kupiec zniszczony, wynalazca bez piéniędzy, wdowa, siérota i żebrak, nigdy do drzwi jego napróżno nie pukali. Dawał piéniądze tak jak one zarabiał bez rachuby. Trzecia część jego majątku, jest prawdą, że raczéj była zmarnowaną niż wydaną; lecz marnując tę trzecią część, gdyby był mniéj dowierzającym, i mniéj wspaniałomyślnym, byłby zachował dwie drugie i umarłby milionerem. —

Co do mnie, który się zbliżyłem do człowieka, który wzbudził tylu serc bicie, który tyle łez wycisnął,

do człowieka który tyle użył i wyciérpiał, który doświadczył największych tryumfów i największych niepowodzeń, największéj obfitości, i najstraśliwszéj nędzy; lubiłem badać sumiennie jego naturę.

Uniesienia jego geniuszu, wzniosłość jego serca, wprawiały mnie w podziwienie i uwielbienie, i powtarzam, że jego pamięć zawsze mi obecną będzie. —

OSOBLIWSZA OSZCZĘDNOŚĆ.

Pan Castile Blaze zebrał ciekawą kollekcyą autografów wszystkich sławnych muzyków i aktorów. Przytaczamy zabawny kawałek z listu Magdaleny Maupin, sławnéj w ośmnastym wieku aktorki francuzkiéj, o dawnéj oszczędności aktora Duménil. Dla zrozumienia go dodać tylko należy, iż niegdyś aktorowie nie odgrywali rol w kostiumach stosownych do stanu osób, które wystawiali, ani do kraju i wieku, w którym się rzecz odbywała; lecz mieli właściwe już sobie ubiory: ogromne peruki, rogówki, fraki aż do saméj ziemi; a na ramionach, u kolan, u kapeluszy, wstążek w różnych kolorach co nie miara.

Ustęp z listu Magdaleny Maupin do Kawalera de Séranne.

Paryż d. 15 *Lipca* 1704 *r.*

.... Ale muszę ci koniecznie wspomnieć o przyozdobieniu salonu Duménila: ciekawy to pomnik, zadziwiające dzieło cierpliwości; pewna jestem, że podobne umeblowanie jeszcze nigdzie nie istniało. Na piérwszy rzut oka, widząc bogatą jedwabną materyą w szerokie pasy wszystkich odcieni i barw najżywszych, pomyślałam, że Duménil obrał za wzór kurtkę Mezzetina, i że kupcy weneccy pośpieszyli mu dostarczyć téjże saméj materyi, w którą śmiészek włoski obwijać się lubi. Lecz przypatrzywszy się bliżéj obiciu, krzesłom, a szczególniéj firankom, postrzegłam, że każdy pas był sztuką materyi, mającéj swoje oddzielne dwa skraje. — Którażto Penelopa, lub samotnica, poświęciła dnie i noce dziesięcio-letniego czuwania, aby tak ciekawie pospajać tysiączne pasy tego obicia, tych firanek? — spytałam. — Ja to sam, — odpowiédział Duménil; — praca ta jest zwyczajną moją rozrywką; tyle w niéj znajduję przyjemności, że wschodząca zaledwie jutrzenka skłonić mnie zdoła do zgaszenia świécy; i natychmiast porywam igłę, skoro tylko składam miecz Rolanda lub Kadmusa. Na tym świecie trzeba przecie coś koniecznie robić: łakomstwo i ciekawość naszéj matki Ewy na pracę nas skazały, odbywam moję pańszczy-

znę w nocy, gdyż służba opery cały mi dzień zajmuje. — Lecz dla czegóż nie wybierasz szerszéj materyi? mniéj daleko miałbyś roboty: zamiast stu szwów, jeden byłby dostateczny. — Bez wątpienia, gdyby materya ta nie tak drogo kosztowała. — Alez wydatek na wstążki daleko jest większy, a twoi dostawiacze... — Bardzo są cierpliwi i łaskawi, upewniam panią. Wiész dobrze, iż panowie Orland, Medor, Hylas, Belerofon, Tyrsys, Kadmus, Faeton, Klidamant, Atys, Alcymedon, Tezeusz i tylu im podobnych, nieśmiéliby okazać się na teatrze, nie będąc okryci ogromnemi pękami wstążek; rozety, kokardy, na które nie szczędzą materyi, zdobią ich kurtki, kolana, trzewiki, kapelusze. Wstęgi spadają jak akselbanty z ramion bohatérów, zaokrąglają się w sztuczne węzły przy rękojeści ich szpad, otaczają kapelusz pasterza, powiéwają przy jego kijku. Łatwo pojmujesz, że aktor piérwszego rzędu, jak ja, najwięcéj dwa razy tych samych wstążek używać może. Dyrektor nasz zaczął wprawdzie przeciwko temu powstawać, ale potrafiłem na dobrą zwrócić go drogę; a zapobiegając, aby nadal coś podobnego znowu mu nie przyszło do głowy, każę do siebie przynosić ubiory, i odsyłam je krawcowi operowemu, z ozdób ogołociwszy. Chcąc nie chcąc muszą je na nowo przystroić. Te krzesła w błękitne i białe pasy, okryte są wstęgami Apollina. Tę piękną sofę, ciemno-zieloną na blado zielonym, ze srebrnemi galonami, zrobiłem, kiedym raczył przyjąć rolę strumyka. Poznajesz liberyą Plutona w tych firankach czerwonych i czarnych. Teraz zajmuję się moim sypialnym pokojem, i dałem do zrozumienia Fransinowi, iż powinienby obrać kolory żółty i różowy do *Karnawału szaleństwa*, komedyi Lamotha i Destouches, któréj się teraz uczymy, a z którą lada dzień wystąpić mamy na scenę. Różowy i żółty, to wcale piękna kombinacya do mojéj alkowy, odcień będzie przecudny. To jak raz dla mnie przypada; czynię prócz tego przysługę dwóm dawnym przyjaciołom; sztuka ich czeka swojéj kolei już od lat sześciu; teraz przecie będzie wystawioną, dzięki mojéj alkowie. Mam sobie za największą przyjemność protegować poetów i muzyków.

Nie dosyć, jak widzisz, robić wyśmienicie sosy (*), i śpiéwać do zachwycenia opery: Duménil pragnie się jeszcze odznaczać jako tapicer. Może powiédzieć wraz z Kryspinem:

J'ai fait tous les métiers d'après le naturel,
Et je puis m'appeller un homme universel.

(*) Duménil był pierwéy kucharzem, nim został aktorem.

Uwiadomienie. *Do Numeru dzisiejszego dołącza się portret* Ignacego Werowskiego *artysty dramatycznego Teatrów Warszawskich, rysowany przez* Józefa Głowackiego. —